

Sukienka balowa



BOLESŁAW PRUS

Sukienka balowa

ROZDZIAŁ I, W KTÓRYM ARTUR POMYŚLAŁ O DAMIE SWEGO SERCA.

Pewnego wtorku, około 2-ej w południe, zwykli śmiertelnicy, przechodząc ulicą Wierzbową, mieli nieporównaną rozkosz oglądać i podziwiać ozdobioną małpami algierką¹ dobrze wychowanego Artura, razem z jej właścicielem, wypełniającym wnętrze pięknej szaty na zasadzie poręczenia, złożonego w składzie futer przez dwie wiarygodne i odpowiedzialne osoby.

Z boleścią zaznaczyć musimy, że ogół mieszkańców miasta Warszawy, prawdopodobnie skutkiem roztrzęsania, nie zwracał dostatecznej uwagi na naszego bohatera, a tym mniej zapytywał o rodzaj jego zajęć i nazwisko. Raz tylko (lecz działo się to nie na Wierzbowej), jakiś zgryźliwy staruszek, potrącony przez Artura, rzucił niebacznie słówko: „Cóż to za błazen...?” Szczęściem niedelikatne to pytanie nie dosięgło uszu młodzieńca; ten bowiem zamiast odpowiedzi, podwoił kroku i począł nucić ulubioną arię z *Traviaty*².

Nie dzieląc nagannej obojętności współobywateli, choć w kilku wyrazach postaramy się skreślić biografię miłego chłopca. Nie dlatego bynajmniej, aby miał odegrać jakąś wydatniejszą rolę w naszej powiastce (tacy bowiem, jak on, nigdzie żadnej nie odgrywają roli), lecz dlatego, aby przekazać potomności ukochany przez nas typ, który od wieków już istnieje i wieki jeszcze istnieć będzie.

Główną finansową podporę Artura stanowiła jego ciotka: dama sędziwa, sparaliżowana i ubóstwiająca swego wychowanka. Ona to co dzień o pierwszej częstowała go skromnym obiadem i dawała mu co miesiąc rubli sześć na drobne wydatki. Wyzajemniając się, Arturek w ciągu obiadu bawił ją bardzo groźnymi pogłoskami wojennymi, po obiedzie zaś kładł swej karmicielce miękką poduszkę pod głowę, życzył smacznej drzemki i wychodził „do biura”.

Biuro jego mieściło się w pewnej sali bilardowej, gdzie najsystematyczniej pracował od 10 do 12 z rana i od 2 do 7 po południu. Bilard lepiej znał, niż Jan Śniadecki trygonometrię sferyczną; grał na nim stojąc, siadając i kładąc się, w tużurku³ i bez tużurka, słowem: jak prawdziwy artysta. Ponieważ zaś na przeciwników wybierał zawsze młodzież niewprawną, lecz zasobną, i ponieważ, dzięki słabej pamięci, sobie niekiedy doliczał punkty, a swym partnerom ujmował — praca więc „biurowa” przynosiła mu 2 do 3 rb. na dobę.

Bez względu na tak przyzwoity dochód, Artur, hołdując wymaganiom wieku, miał długi. Złatwiał się też z nimi w sposób ogólnie przyjęty — zaciągając dla spłacenia dawnej, nową pożyczkę „z ogonem”. Skutkiem tych operacji długi rosły; bohater nasz jednak był pewny ostatecznego uregulowania ich przy pomocy kapitaliku, który po najdłuższym życiu sparaliżowanej ciotki miał odziedziczyć.

Pewien rodzaj ludzi nigdy nie pyta: skąd masz? — lecz: ile masz? — a ponieważ Artur był młodzieńcem nader milej powierzchowności, i ponieważ łatwiej można mu było wykazać: oszustwo w grze, plotkarstwo i skłonność do błagi⁴, aniżeli najmniejsze zaniedbanie form towarzyskich — dobry ten więc chłopak w najuczciwszych domach bywał

¹algierka (daw.) — płaszcz męski. [przypis edytorski]

²La Traviata — opera Giuseppe Verdiego z 1853 r. [przypis edytorski]

³tużurek (z fr.) — ciemne okrycie męskie przypominające surdut. [przypis edytorski]

⁴blaga — kłamstwo. [przypis edytorski]

przyjmowany z otwartymi rękoma, a nawet... konkurował o pewną posażną jedynaczkę z widokami wygranej!...

Wiedząc o tym, nie zdziwią się zapewne czytelnicy, skoro im powiemy, że w chwili, gdy przyjaciela naszego spotkaliśmy na ulicy Wierzbowej, jakiś bardzo przyzwoity mężczyzna zastąpił mu drogę i z najniższym ukłonem rzekł:

— Jakież to szczęście, że spotykam szanownego pana Artura!

— Witam. Czymże mogę służyć? — zapytał uprzejmie młodzieniec.

— Powiem krótko: we czwartek żona moja i ja wydajemy wieczorek... Znam mało przyzwoitej młodzieży, i dlatego ośmielam się prosić pana o pomoc...

— Rozumiem i chętnie służyć! — odparł młodzian, któremu przemknęły w tej chwili przez myśl: polędwica z sałatą, szczupak z białym sosem i kilka gatunków win różnej narodowości.

— Gdzież szanowny pan mieszka? — zawołał rozpromieniony gospodarz balu. — Już od tak dawna pragnąłem mu złożyć wizytę...

— W tej chwili... To jest... — bełkotał Artur.

— Domyślam się! Masz pan zapewne nieuporządkowany apartament. Więc tymczasem do widzenia, a przy pierwszej sposobności...

Mówiąc to, człowiek przyzwoity czule ścisnął rękę Artura, który wyglądał tak, jakby mu frazes „o uporządkowaniu apartamentów” nasunął jakąś myśl znakomitą. Nim więc znajomy zdołał dostatecznie określić potęgę swej wdzięczności, Artur rzekł:

— Przepraszam za ciekawość...

— Owszem, panie, bardzo proszę!

— Czy państwo Gwizdalscy są także inwitowani⁵?

— Panna Helena i jej ojciec?... Na śmierć zapomniałem!... Ale zaproszę ich niezawodnie, mam nawet przy sobie bilety i natychmiast poślę.

— Będę dziś u tych państwa i z całą przyjemnością podejmę się pośrednictwa.

— Pan taki łaskaw... tyle grzeczności!... Musimy jednak wstąpić gdzieś dla napisania adresu.

Po króciutkiej naradzie, przyzwoity człowiek i elegancki młodzieniec weszli do najbliższej cukierni. Tu przyzwoity człowiek, nachyliwszy się do subiekta, szepnął:

— Czy mogę prosić o atrament i pióro?

— Dwie erbeti!... huknął subiekt.

— Nie herbaty, panie! Ośmielam się prosić o atrament i pióro.

Podano żądane rekwizyty, i za chwilę miły Artur schował do kieszeni bilet, na którym stało:

„M-me Kukalska, née⁶ Hebesowicz, z małżonkiem, ma honor prosić M-elle Helenę Gwizdalską, wraz z ojcem, na wieczór tańczący o godzinie 11-tej we czwartek.”

Dobrze wychowany Artur czuł, że w sprawie zaprosin tkwi wiele nieformalności, pocieszył się jednak widokami przyszłego szczęścia, i śpiewając, poszedł ku domowi.

ROZDZIAŁ II, W KTÓRYM DO GRANITOWEGO SERCA PANA HORACJUSZA PRZYPUSZCZONO PIERWSZY ATAK.

W obszernym lokalu Horacjusza Gwizdalskiego, właściciela kilku pierwszorzędnych nieruchomości przy jednej z drugorzędnych ulic, bawiło się w tej chwili półtorej osoby: ładna Helunia, 20-letnia córka pana Horacego i Jaś, sześciolatek synek tegoż.

Zabawa ich była bardzo prosta. Panna Helena zwijiała włóczkę, a Jaś, siedząc na krześle, trzymał motek. W każdej chwili jednak urozmaicała się ta niesłychanie prosta sytuacja z powodów następujących:

— Proszę Helci! — mówił Jaś.

— Czego chcesz, młocze?

— Co to tak w kłębku grzechocze?

— Mówiłam ci już tyle razy, że groch.

— A prawda!... Groch...

⁵inwitowany — (daw.) zaproszony. [przypis edytorski]

⁶née — (z fr.) urodzona; tu: z domu. [przypis edytorski]

Następowała przerwa, w ciągu której kłębek, jak fryga⁷, kręcił się i grzechotał w rękę Heluni, a Jaś znowu na krzeselku kręcił się, jak dwa kłębki.

Ponieważ jednak milczenie nie zgadzało się, ani z wiekiem, ani z temperamentem Jasia, dziecię więc zaczynało na nowo:

— Proszę Helci!

— Cóż tam dał Pan Bóg nowego?

— Dlaczego ja mam takie nóżki krótkie, a Helcia takie długie?

— Cicho bądź, ty mała papugo! — zgromiła go siostra.

Nowa przerwa i nowa interpelacja⁸, zaczynająca się od sakramentalnych słów:

— Proszę Helci!

— Co powiesz?

— Tak mi się nudzi! — szepnęła Jaś nieśmiało.

Dobra siostra, nie pytając o nic więcej, ucałowała chłopca, zdjęła go z krzeselka na ziemię i zwijanie włóczki odłożyła do czasów lepszych.

W tej samej chwili szczęknął pęknięty dzwonek w przedpokoju, i niebawem ukazał się elegancki Artur z szapoklakiem⁹ w rękę.

Helunia zaczerwieniła się.

— Wpadam tylko na chwilę, złożyć państwu uszanowanie i załatwić nader ważny interes — zaczął dandy¹⁰, niespokojnie oglądając się dokoła, po czym zbliżył się do panny Heleny i pocałował ją w rączkę.

Helunia stała się purpurowa.

— Niechże pan siada, papa zaraz wróci.

Niewinna wzmianka o powrocie papy zachęciła eleganta do powtórzenia pocałunku. Oczy panienki zrobiły się szkliste.

— Niech pani wyobrazi sobie, jaki mam kłopot. Bankier X. zaprosił mnie na bal we czwartek... — pytał Artur.

— Pan zna bankiera X.?

— Jesteśmy przyjaciółmi, a nawet więcej... on mi bowiem zawdzięcza swoją karierę. Poradziłem mu, aby napisał dzieło o kolejach, powiem nawet, że mu sam udzielił kilku rad, no! I dzieło to zrobiło mu niesłychany rozgłos.

— Musi być panu bardzo wdzięczny.

— O niewątpliwie! W roku zeszłym wydał dla mnie kolację. Było nas tylko trzydziestu, sama śmietanka towarzystwa. Każdy miał za krzesłem lokaja. Piliśmy dwanaście gatunków win, po kieliszku z butelki, samych zaś kwiatów w sali było za dwanaście tysięcy rubli.

Piękny Artur urwał nagle, dostrzegłszy, że mimo widocznej pobłażliwości, panna słucha go z niedowierzaniem. Niezbity jednak z tropu zaczął znowu:

— Otóż bankier X. prosi mnie na czwartek, i jednocześnie państwo Kukalscy zaklinają mnie, abym w ten sam czwartek był u nich w charakterze wice-gospodarza...

— Pan naturalnie nie waha się w wyborze? — szepnęła Helunia.

— Tak jest, nie waham się, i idę do państwa Kukalskich, ponieważ pani tam będzie...

— Ja?...

Wykwintny młodzian, zamiast odpowiedzi, podał zmieszanej pannie bilet z zaproszeniem.

— Nie wiem, czy będę mogła...

— Domyślam się! — rzekł piękny Artur z odcieniem melancholii. — Ojciec pani pragnie, abyś unikała zebrzań... Zabawy nie mają dla niego powabu, i z tego też powodu ja, który mam nieszczęście być rozrywany w towarzystwach, nie posiadam jego względów! Lecz trudno!... Muszę ulec, choć czuję, że w tej grze stawiam na kartę szczęście całego życia...

⁷fryga — (daw.) bąk. [przypis edytorski]

⁸interpelacja — zapytanie. [przypis edytorski]

⁹szapoklak (z fr.) — składany cylinder. [przypis edytorski]

¹⁰dandy (ang.) — dandys, mężczyzna z przesadą dbający o strój i kurtuazyjny w zachowaniu. [przypis edytorski]

Mówił to jednym tchem, z oczyma spuszczoneymi ku podłodze. Tym razem nie znająca ludzi Helunia wierzyła mu tak, jak redaktorowie niektórych pism swojej własnej nieomyślności.

— Mówmy o czym innym, panie! — szepnęła przygnębiona Helenka.

Młodzian gwałtownie poprawił kołnierzyk, jakby pragnął odegnać rozpacz, która go za kark chwytala, i głosem zmienionym zaczął:

— Masz pani słuszność! Myślmy raczej o zabawie i triumfach. Istotnie powinienem bym być zadowolony... Panna Klementyna zaangażowała mnie do pierwszego kontredansa, panna Łucja do dwu mazurów...

— Ha, łotry! — huknął gruby głos w przedpokoju. — Wylewają pomyje przed samymi drzwiami, rujną mi dom!... Jak Pana Boga Kocham, tak zaskarżę ich do policji... Jak się masz, Helusiu!

Z tymi słowy wtoczył się do pokoju otyły człowiek, z apoplektyczną szyją i siwymi faworytami¹¹. Na jego widok wykwinął Artur osłabł.

— Aha! Widzę i pana Artura?... Moje uszanowanie!... Jak się pan tam zobaczysz z tym cukiernikiem z dołu, to mu powiedz, że go sprocesuję, z domu wyrzucę, do kryminału oddam!... Dałem mu dwie piwnice, a on mi trzecią jeszcze, moją własną zabiera, sypie tam piasek a potem deski wyrывa!... Miły lokator, jak Pana Boga Kocham!

— Teraz posiadanie kamienicy — wtrącił skromnie Arturek — jest prawdziwym poświęceniem...

— Rozumie się! — mruknął okrutny starzec, patrząc na eleganta z pod oka. — Wydatki masz ciągle, a twój lokatorowie udają tymczasem wielkich panów i komornego po trzy miesiące nie płacą...

To powiedziawszy pan Horacy (on to był bowiem) wszedł do następnego pokoju i począł krzyżeć na Jasia.

Wystraszony Artur wymownie spojrział na Helenkę i przeze drzwi pożegnał jej gwałtownego papę.

— Dobranoc! Dobranoc! — odpowiedział mu niechętnie stary.

Gdy młodzian znikł, pan Horacy wrócił do pokoju córki.

— Nie pojmuję, moja Helciu, jak możesz rozmawiać nawet z takim cymbałem? — rzekł ojciec.

— Ja, proszę papy, nie... Wszyscy zresztą mówią, że on jest bardzo dobrze wychowany...

— Co mi tam diabli po jego wychowaniu, kiedy się niczym nie zajmuje i komornego nie płaci...

— On żyje przecież z hrabiami i bankierami...

— Niech sobie żyje z diabłem, byle płacił! Ja nie kradnę, ani pieniędzy nie fałszuję, a rodzinę swoją utrzymać muszę. Co on sobie myśli?

— Wszyscy go szanują... On ma takie zdanie trafne...

— Co mnie po jego zdaniu, kiedy ja chcę pieniędzy! Dwa dni jeszcze daję mu folgi, a potem wysyłam komornika, ażeby wziął go za łeb, drzwi i okna powystawiał i z ciupy¹² na ulicę wyrzucił... Skaranie boskie z tym elegantem!

Strasliwe groźby ojca nie przeraziły Helenki, która od dzieciństwa nasłuchiwała się mnóstwa pogrózek, nie widząc mimo to, aby wykonano z nich którąkolwiek. Ponieważ zaś zaprosiny z Hebesowiczów Kukalskiej drażniły ją do wysokiego stopnia, nie tracąc więc czasu, rzekła:

— Proszę papy, państwo Kukalscy zaprosili nas na wieczór..

— Co? Na wieczór?...

— Przecież tatko nie odmówi, bo by to było nieprzyzwoicie — mówiła Helenka, całując w rękę srogiego ojca.

Wobec tego aktu pokory, starzec zmiękł.

— Kiedyż to? — spytał.

— We czwartek, o jedenastej wieczorem.

¹¹faworyty — dziś: baczki, bokobrody. [przypis edytorski]

¹²ciupa — (pot.) małe pomieszczenie. [przypis edytorski]

— Co?... O jedenastej wieczorem... I może jeszcze tańcować będziecie do siódmej rano?... Nigdy! Niech diabli porwą wszystkie tańce... Pamiętam, panna Róża Hładyszewska tańcowała raz od 2 do 7, wyszła potem na dwór, dostała tyfusu i przejechała się na Powązki...

— Ale ja, papo, nie umrę.

— Nie umrzesz, bo nie będziesz tańcowała!

— Więc papo chce, żebym się cały karnawał nudziła? Już i tak nigdzie nie bywam!...

— mówiła Helenka ze smutkiem. Ugodzony w serce starzec siadł na fotelu i pobożnie złożył ręce na brzuchu. Chwilę myślał a potem rzekł:

— Dobrze! Będziesz na nim, ale tylko do pierwszej.

Helenka rzuciła się ojcu na szyję, i obsypawszy go pocałunkami, nieśmiało dodała:

— Ale wie papo, że ja nie mam sukienki...

— Przecież dzięki Bogu nago nie chodzisz! — oburzył się ojciec, lekko odsuwając ją od siebie.

— Tak, ale widzi papa, nie mam sukienki balowej...

— A ile by taka kosztowała? — spytał pan Horacy stłumionym głosem.

— Najwyżej piętnaście, a może tylko dziesięć rubli — odparło niebacznie dziewczę, nie dostrzegając na twarzy ojca symptomatów nadzwyczajnego wzburzenia.

Starzec skoczył z fotelu, jak okręt wysadzony w powietrze dynamitem, i patrząc na córkę wzrokiem, którego mógł być mu pozazdrościć Abraham w chwili, gdy podnosił nóż na syna swego Izaaka, począł mówić głosem uroczystym:

— Za wywiezienie lodu z podwórza zapłaciłem 12 rubli, za piece 18, za śmietnik 4 ruble, razem 34 ruble. Teraz znowu zacieka mi dach nad stajniami, zepsuła się rynna u frontu, szwaczka i twój pan Artur nie płacą już kwartał za lokal... słyszałaś?...

— Słyszałam, papo — odpowiedziała przełęczniona Helenka.

— A zatem... nie pójdziesz na bal! Nie pójdziesz na bal! Nie pójdziesz na bal! Ja na jednodniowe fatalaszki pieniędzy nie mam.

Potem pan Horacy wyszedł, strzelając wszystkimi drzwiami po kolei. Helenka miała ochotę rozplakać się; uspokoiła się jednak trochę, usłyszawszy, że choleryczny starzec z odległości trzeciego pokoju miota złorzeczenia na Kukalskich, którzy wyprawiają bale, i na cukiernika, który zabrał piwnicę na piasek.

ROZDZIAŁ III, W KTÓRYM NIESPODZIANIE NADESZŁE POSIŁKI SZTURMEM ZDOBYWAJĄ KIESZEŃ OJCA GWIZDAŁSKIEGO.

Mrok już zapadał, kiedy do mieszkania owdowiałego Gwizdałskiego weszła bardzo miła panienska, imieniem Klimcia, posiadająca czarne, figlarne oczy i wielkie łaski u popędliwego starca, który, mówiąc nawiasem, nigdy nie czuł wstrętu do płci nadobnej.

Pan Horacy, usłyszawszy w przedpokoju śmiech panien i echa pocałunków, trzaskających jak pocztylionkie bity, wybiegł z rozpromienioną twarzą i zdążył jeszcze zdjąć z gadatliwej brunetki popielicową salopkę. Pomyślne to zdarzenie nappełniło serce starego lwa bardzo sprawiedliwą dumą i uczuciem zadowolenia na cały wieczór.

Nastąpiły powitania, ukłony, szepty. Panny, ucałowawszy się w przedpokoju, powtórzyły całusy w pokoju jadalnym, a następnie w bawialnym. Potem wzięwszy się pod rękę, poczęły obiegać całe mieszkanie, a gwałtowny, lecz systematyczny starzec zapalił tymczasem własnoręcznie dużą lampę i rzucił parę klątw na bezczelnego cukiernika.

Gdy zajaśniało światło, rozmowa stała się ogólną.

— Moja ty, czy będziesz we czwartek na wieczorze u państwa Kukalskich? — zapytała Klimcia Helenki.

— Jesteśmy zaproszeni, ale papa nie chce! — odparła smutnie Helenka.

— Czy to prawda, panie Gwizdałski?

Stary zmieszał się.

— Ależ moja pani!... Ja Kukalskich bardzo szanuję, Helenkę bardzo kocham, lecz każdy bal pociąga za sobą niesłychane wydatki, a czasy są ciężkie.

— Cóż to za wydatek kilkanaście rubli na sukienkę, raz na rok! Mój ojciec jest także oszczędny, a mimo to nie odmawia mi takich małych przyjemności — mówiła Klimcia.

Kłótnia

Czy to skutkiem wpływu gorąca, czy też argumentacji milej brunetki, której czarne oczy posiadały blask szczególny, pan Horacy zaczął silnie potnieć. Transpiracja ta pomyślnie oddziałała na straszliwego starca, który tym sposobem pozbył się całego zapasu gniewu i głosem jagnięcia rzekł:

— Ja przecież Helci nie żałuję... Ileż to wszystko może kosztować?

— Tak to rozumiem! — zawołała z triumfem panna Klementyna. — Helciu, ucałuj ojca!

Nie widzimy potrzeby opisywać entuzjazmu, z jakim Helenka dziękowała papie za jego dowody przywiązania. Pan Horacy rozczulił się i na wniosek Klementyny obiecał dać córce na strój balowy aż dwadzieścia pięć rubli!

Po tym heroicznym czynie starzec prosił damy, aby mu pozwoliły zapalić fajkę. Na propozycję tę panny przystały z rozkoszą i poczęły naradzać się nad suknią.

— Powiadam ci, moja najdroższa — mówiła Helenka — że nie wiem nawet, kto mi uszyje tę suknię.

— Dasz do magazynu — radziła Klimcia.

— Po co? — wtrącił pan Horacy. — Mamy przecież w domu bardzo zdolną szwaczkę.

— Doskonale! — zawołała Helenka. — Ona winna papie za lokal i tym sposobem najłatwiej spłaci.

Ojciec oburzył się i trzymając fajkę, jak król treflowy berło, rzekł:

— Nie lubię tego rodzaju rachunków. Szwaczka jest biedna i musi żyć; pieniądze więc, które zarobi, oddasz jej do ręki, a moją należność wyciśnie z niej sąd i komornik!...

Obie panny wybuchnęły śmiechem, co niesłychanie obraziło Gwizdalskiego, który począł rzucać się i przysięgać, że za kilka dni wtrąci szwaczkę do więzienia na całe życie. Uspokojono go jednak, i narady posunęły się dalej.

— Jakążbyś mi radziła suknię? — zaczęła Helenka.

— Jak to jaką? — przerwał ojciec. — Suknia powinna być biała z przyzwoitym wcięciem.

Panny znowu w śmiech, po czym zabrała głos Klimcia i poczęła mówić obecnym o falbanach i wodach, bertach¹³ i baskinach¹⁴. Tłumaczyła dalej znaczenie fartuszka i szarfy i bardzo stanowczo domagała się, aby Helenka miała przy staniku bukiet, a na głowie niebieskie kwiaty.

Stary z początku słuchał uważnie, w połowie jednak dyskursu począł niespokojnie spoglądać na okno, a w chwili, gdy panna Klementyna dotknęła kwestii bucików, zerwał się z fotelu i ryknął:

— On tam jest!... Słyszę go!...

— Kto? Co?... — spytały panny.

— Cukiernik na podwórzu!... Damże ja mu teraz za moją piwnicę!...

I z tymi słowy pobiegł na dół.

Dziewczęta, znając Gwizdalskiego, były zupełnie spokojne o życie, zdrowie i droższy od obojga honor — cukiernika. Nic więc dziwnego, że Helenka głosem całkiem spokojnym spytała Klimci:

— Cóż to, podobno zaangażowałaś pana Artura do pierwszego kontredansa?

— Ja? — odparła zdumiona Klimcia. — Któż ci to powiedział?...

Z fizjonomii¹⁵ przyjaciółki odgadła Helenka, że piękny Artur skłamał. Odkrycie to zrobiło jej przykrość, pocieszyła się jednak wkrótce, pomyślawszy, że zakochany młodzieniec użył tej niewinnej mistyfikacji dla obudzenia w niej zazdrości.

Niebawem wrócił i pan Horacy. Przeprosił damy za pozbawienie ich swego towarzystwa, doniósł im, że cukiernika już na podwórzu nie zastał i poprzysiągł, że za kilka dni rozpocznie przeciw niemu proces kryminalny za zajęcie, a następnie włamanie się do piwnicy. Nadmienił także, że musi naprawić rynnę od frontu, i że przy pierwszej sposobności wypędzi stróża, zbiwszy go na kwaśne jabłko, do którego to aktu przysposabiał już od lat dziesięciu swoją rodzinę i znajomych.

¹³berta (z fr. *berthe*) — szeroka, koronkowa falbana otaczająca dekolt sukni wieczorowych. [przypis edytorski]

¹⁴baskinia — (z fr. *basque*) — rodzaj gorsetu rozszerzonego wzdłuż wcięcia talii, nad udami. [przypis edytorski]

¹⁵fizjonomia — wyraz twarzy. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ IV, Z KTÓREGO OKAZUJE SIĘ, NA CZYM MIA- NOWICIE POLEGA SZCZĘŚCIE CZŁOWIEKA.

Na facjacie¹⁶ jednopiętrowej oficynki, należącej do srogiego pana Horacjusza i stojącej naprzeciw jego okien, mieszkała uboga szwaczka Zosia ze swym kanarkiem.

W kwadratowej izdebce, której sufitu dotykała głowa szwaczki, stał żelazny piecyk do węgla, małe łóżeczko z Pocijowa, takiż stolik, krzesło, kufer i trochę drobnych rupieci. Przy oknie, ozdobionym pocerowaną, lecz czystą muślinową franką, wisiał kanarek w drewnianej klatce.

Zosia w 24-ym roku życia była już sierotą, choć przed sześciu laty miała jeszcze matkę i czworo rodzeństwa. Cała ta rodzina, na pozór przynajmniej, odznaczała się czerstwym zdrowiem, ciążyło przecież na niej jakieś nieszczęście.

Jednego roku najstarszy brat przeziębził się, wpadł w galopujące suchoty i umarł w ciągu kilku miesięcy. Za nim poszła matka, kobieta w sile wieku. Później średniego brata rozszarpały koła maszyny w fabryce, wreszcie młodsza siostra umarła na cholere.

Pozostało ich tylko dwoje: Zosia i jej brat najmłodszy — Karol. Dziewczyna zastępowała mu matkę, oddała go do terminu¹⁷, opierała, karmiła, zachęcała do pracy, a wreszcie wyzwoliła na czeladnika. Chłopak był dobry i kochał siostrę; toteż po wyzwolinach lepiej już nieco dziać im się poczęło na świecie, gdy wtem — Karol dostał tyfusu i we dwa tygodnie na ręku siostry życie skończył.

Kobiety wielkiego świata, gdy im ktoś bliski sercu umrze, wylewają dużo łez, mdleją, a wreszcie stroją się żalobnie na cześć nieboszczyka i przez czas oznaczony zachowują minę bardzo niezłą. Biedne te i tkliwe istoty zapatrują się na śmierć z tak tragicznego stanowiska, że niechybnie same by pomarły, lub przynajmniej powariowały, gdyby nie pocieszała ich ta jedna myśl, iż im w czarnej sukni będzie do twarzy.

Biedna Zosia tylu pielęgnowała chorych, tyle sprawiła pogrzebów, a wszystko ze swojej ciężkiej pracy, że już jej w końcu łez i czarnych sukien zabrakło. Chodziła też, jak Bóg dał, pracowała dni i noce, i dzięki tej metodzie odpędziła od siebie zmorę rozpaczy.

Toteż kiedy promienie słońca, stopiwszy lód z okienka, rozpierzchły się po kątach izby, kiedy ręczna maszyna Zosi poczęła warczeć, a najedzony i napojony kanarek świstać, dziewczyna zapominała o smutkach, nawet o świecie całym, i zadowolona z życia, z głębi piersi śpiewała:

„W lasku Ida trzy boginie...!”

O jakże płakać musiały cienie braci, siostry i matki, pilnujące prawdopodobnie po-
koiku Zosi, że duch wieku nie podsunął osieroconej dziewczynie innych jakich piosenek!
O jakże to przykro pomyśleć, że ludzie, którzy dla żołądka mają tylko chleb czarny, dla
umysłu nie dostają nic, albo prawie nic, a dla serca — plewy z Offenbachowskiego¹⁸
wiatraka!

Wyteżona praca pozwalała Zosi zarabiać rubla, a niekiedy i dwa na dobę; mogła więc
jeść dziewczyna co dzień gorące kartofle, pić ciepłe mleko i... spłacać długi, przed rokiem
i dawniej zaciągnięte u Żydów.

Krótko mówiąc, życie Zosi było pasmem cierpień i poświęceń, przenoszonych i do-
konywanych z pogodną twarzą i niepospolitą energią ducha. Uboga ta szwaczka mogłaby
się nazywać niewiedzącym o godności swojej aniołem, gdyby... gdyby obok tego nie była
opuszczoną, ładną, a więc i grzeszną dziewczyną. Nie myślimy się tu rozszerzać nad jej wy-
stępkami; powiemy tylko, że kusiciel i wspólnik jej był młodzieńcem tyle wykwintnym,
ile nikczemnym, że równie jak ona, mieszkał w domu pana Horacego i często składał mu
wizyty.

Zosia z okienka swego widziała niekiedy, jak elegant wbiegał na schody gospodarza;
wiedziała, że ten ma pieniądze i ładną córkę. Wówczas zamyslała się, odkładała na bok
robotę i gorzko płakała.

¹⁶facjotka — pomieszczenie na poddaszu z oknem na dachu. [przypis edytorski]

¹⁷termin (daw.) — nauka u rzemieślnika. [przypis edytorski]

¹⁸Offenbach, Jacques (1819–1880) — kompozytor francuski, specjalizujący się w operetkach. [przypis edytorski]

We środę, około 11-ej z rana, Zosia, siedząc przy swej maszynie, usłyszała jakieś ciężkie stąpania na schodach. Za chwilę w wąskich i niskich drzwiach izby ukazał się stróż.

Zosia ścierpła, pomyślawszy o niezapłaconym komornem.

— Panno! A jest tam panna? — zaczął stróż.

— Czego to chcecie, mój Józefie?

— Chcę, żeby panna poszła do roboty do naszej panienki.

— Cóż to za robota?

— Jakaś tam suknia do balu! — mruknął stróż.

— Mój drogi Józefie! — rzekła po namyśle szwaczka. — Powiedzcie wy lepiej, że mnie nie ma!... Ja się waszego pana bardzo boję...

— O!... A to czego? On ino taki pyskаты, ale dobry człowiek i jego bać się nie ma co.

— Ale ja mam teraz pilną robotę, za którą mi zapłacą, a on jak strąci za komorne, to i nic nie dostanę, choć mi na gwałt potrzeba pieniędzy.

— Ii... Bo to prawda! Tu rozmaici mieszkowali, to zduny, to stolarze; każdy był staremu cości winien, a on nikomu nie strącał. To dobry chłop, ino z wierzchu jeżem odziany!

Dziewczyna objaśnień tych wysłuchała z radosnym zdziwieniem. — "Mój Boże! — myślała — jak to ludzi posądzać nie trzeba. Stary niby to zły, jak pies, a tu stróż go chwali, który zna się przecież na rzeczy!"

Po tym monologu ogarnęła się nieco i poszła do gospodarza.

Tam czekały ją same niespodzianki. Gniewliwy starzec wyszedł z domu; zamiast niego zastała dwie ładne i wesołe panny, tudzież milego, sześciolatniego chłopczyka, przy drugim śniadaniu. Panna Helena poczęstowała ją herbatą, panna Klementyna pożartowała z nią, a mały Jaś dał jej buzi i krzeselko.

Po śniadaniu wzięto się do mierzenia i krajania. Zapytana o cenę sukni, Zosia powiedziała 5 rubli, na co obie panny zgodziły się bez wahania. Po czym proszono Zosię, aby uszyła suknię na jutro przed wieczorem, a przyniosła do miary z rana. Potem obie panny pożegnały ją bardzo uprzejmie, a grzeczny Jaś pokazał jej gutaperczanego mężczyznę, który posiadał tę godną uwagi własność, że ściśnięty za którąkolwiek część ciała wydawał głos nieludzki.

Nad wyraz zachwycona szwaczka opuściła mieszkanie. Na schodach jednak spotkała się z pewnym grubym, sapiącym jegomością, który patrząc na nią krwawymi oczyma ryknął:

— Ho! Ho!... To widzę moja lokatorka, która komornego nie płaci? Za dwa dni wytoczę pannie proces, zniszczę, zrujnuję, jak Pana Boga kocham!

Wypowiedziawszy tę straszną groźbę, tłuscioch poszedł na górę, a Zosia pomyślała: — „Krzycz ty sobie, staruchu, krzycz, już ja cię teraz znam!... Poproszę panny Heleny, to mi będzie dawać robotę i komorne mi sprolonguje¹⁹, z pięciu rubli za sukienkę oddam Żydom cztery, bo mnie strasznie szarpia, a za rubla przez jakieś kilka dni będę żyła, jak wielka pani! Oj! potrzebnyś mi, potrzebny, mój ty rubelku, bo dziś akurat ostatnie dwadzieścia groszy wydam i jeść bym już co nie miała!"

Tak medytując, wróciła szwaczka, do swojej izdebki i z zapalem wzięła się do roboty. Świeciło słońce przez lodem okryte szyby, warczała maszyna, śpiewał kanarek — i biedna dziewczyna czuła się szczęśliwa. Zdawało się, że po ciasnym pokoiku chodzi uśmiechnięta nadzieja, i wołając: „A kysz! A kysz!...” — nędzę, zmęczenie i troski zapędza do mysich jamek.

Bądź błogosławiony, o Boże, któryś nam na plac wiekuistego boju zesłał takie wiadło.

ROZDZIAŁ V, W KTÓRYM JEST MOWA O TYM, CO SIĘ ŚNIOŁO, I O TYM, CO SIĘ NIE ŚNIOŁO, PANNIE HELENIE.

Całą środę Helenka miała leciutką gorączkę. Jeszcze póki chodziła za sprawunkami, póki rozmawiała z Klimcią o balu, było pół biedy; ale gdy nadszedł wieczór, przyjaciółka nasza rozchorowała się na dobre.

¹⁹sprolongować — odroczyć czas zobowiązania. [przypis edytorski]

Była to jednak tylko choroba imaginacji, a źródłem jej — oczekiwanie. Helence zatem nie groziło nawet najmniejsze niebezpieczeństwo z wyjątkiem niewyspania się.

Z tym wszystkim Helenka około północy znalazła się w swym łóżeczku i przymknęła oczy. Ale nie można było nawet myśleć o spaniu. Niebieskie kwiaty, falbany, wody, berty i modestki jej sukni mieszały się w głowie naszej przyjaciółki z dźwiękami muzyki, z westchnieniami interesującego Artura i złorzeczeniami popędliwego ojca.

Zmęczona Helenka wstała ostrożnie z łóżka i zbliżyła się do okna. Po drugiej stronie podwórza zobaczyła na facjacie inne okno, a na zamarzłych jego szybach jakiś cień, poruszający się gwałtownie.

To biedna szwaczka szyła jej suknię balową.

Była już trzecia nad ranem.

Helenka po raz drugi próbowała zasnąć, tym razem dość szczęśliwie. Śniło się jej, że w salonie z Hebesowiczów Kukalskiej, wsparta na męskim ramieniu pięknego Artura, tańczy walca. W sercu jej budzą się jakieś nieokreślone uczucia, pod których wpływem ona i jej tancerz dokazują cudów zręczności. Wobec tego zachwycającego widoku, najmłodsze i najładniejsze panny siadają na kanapach, jak stare matrony, młodzież bije brawo, muzyka gra, pan Horacy wylewa łzy i na środku salonu błogosławi szczęśliwą parę.

Wybiła szósta.

Helenka ocknęła się, znowu pobiegła do okna i na szybach facjaty znowu dostrzegła cień Zosi. Tym razem jednak cień nie ruszał się; strudzona szwaczka spała i marzyła o tym, że ją przyciska jakiś kamień straszliwie ciężki, spod którego wydobyć się nie może!...

Okolo dziesiątej z rana suknia już tyle była wykończona, że ją Zosia przyniosła do miary. Bez względu na pośpiech, szwaczka zrobiła ją tak dobrze, że prócz kilku nic nie znaczących poprawek, suknia była prawie gotowa.

Obsypana podziękowaniami, szwaczka wróciła do swej izdebki kończyć robotę, Helenka zaś zajęła się ostatecznymi przygotowaniem.

Czekało ją jednak straszne zmartwienie; tarlatan²⁰ bowiem, szarfa, kwiaty i buciki pochłonęły całe 25 rubli, ofiarowane przez ojca; na robotę zaś sukni, na rękawiczki i wachlarz, trzeba było jeszcze co najmniej z dziesięć rubli.

Trudno się jednak było namyślać. Helenka więc poszła z wielkim strachem do papy i prosiła go o powyższą kwotę.

— A co? — krzyknął starzec — czy nie mówiłem, że ten głupi bal zrujnuje mnie na wieki?... Rób, co chcesz, ale ja dziesięciu rubli nie dam!

Helenka zrobiła to, czego nie chciała, a mianowicie poczęła płakać. Zobaczywszy to, starzec wpadł we wściekłość i dał jej pięć rubli, przysięgając na wszystkie świętości, że już ani grosza nie dołoży.

Uszczęśliwiona zwycięstwem panienska, nie myśląc o tym, co będzie później, pobiegła do miasta, i całe pięć rubli wydała na wachlarz, rękawiczki i koronkę do berty.

Gdy wróciła ze sprawunkami, ojca w domu nie było, w godzinę zaś potem szwaczka przyniosła gotową, idealnie piękną suknię.

Helenka mierzy ją — suknia jak ulana. Mimo to w sercu panienski budzi się wielki niepokój. Skąd tu wziąć pieniądze, kiedy ojciec ani grosza już nie dołoży?...

A Zosia myśli sobie tymczasem: — „Jak to dobrze, że całą noc siedziałam! Dostanę za to pięć rubli, uspokoję trochę Żydów i sama kupię sobie co zjeść, bom głodna, jak nieboskie stworzenie!”

Helenka suknię przymierzyła, zdjęła, powiesiła, ale o zapłacie mówić nic nie śmie. Na domiar niedoli słychać na schodach kroki ojca i dzwonek w przedpokoju.

Okoliczność ta nasunęła Helence myśl fatalną, nie wahając się więc, rzekła prędko:

— Należność pani za robotę strącimy z komornego!...

Usłyszawszy te słowa, szwaczka stanęła jak piorunem rażona; jeżeli nie pobladła, to dlatego tylko, że skutkiem bezsenności i głodu była już blada, jak śmierć.

Tymczasem do przedpokoju wszedł pan Horacy w najgorszym humorze i krzyknął:

— Ten łotr znowu piasek wali do mojej piwnicy!... Sprocesuję, zrujnuję, zniszczę, jak Pana Boga kocham. Raz już muszę im pokazać, kto tu rządzi... raz już muszę się załatwić z tymi lokatorami, co mi życie zatruwają i komornego nie płacą!

²⁰tarlatan (z fr.) — cienki, sztywno nakrochmalony muślin. [przypis edytorski]

Z tymi słowy starzec przebiegł przez pokój, nie patrząc ani na córkę, ani na szwaczkę, ani na suknię...

Przeżażona i rozżalona Zosia szybko pobiegła do siebie, nie pożegnawszy się nawet z Helenką.

Stanąwszy w swej izdebce, odwróciła się do okna, i grożąc pięścią, wyszeptała:

— O wy!... Oszukaliście mnie I... Póki suknia nie była gotowa, częstowaliście herbatą, a dziś ta lalka nawet gadać z człowiekiem nie chce, a stary rzuca się, jak wściekły...

Mówiła to bez płaczu, głosem drżącym z gniewu. Potem stanęła jak posąg, a wreszcie ożywiona straszną myślą, z gorączkowym pośpiechem przystąpiła do jakichś tajemniczych przygotowań.

Naprzód tedy, na arkuszu papieru napisała dużymi literami list i zostawiła go na stole.

Potem zamknęła drzwi na klucz i nakładła pełen piecyk węgla kamiennych.

Potem podpaliła węgle, zasunęła luft, zupełnie jak w starych romansach francuskich, a w końcu uklękła przy swym łóżeczku.

Niebawem ciężki, duszny, przesiąkły odorem siarki, dym począł zapełniać izbę.

Na dworze zapadał już mrok.

ROZDZIAŁ VI, Z KTÓREGO OKAZUJE SIĘ, JAK NA DŁONI, ŻE CHŁOP STRZELA, A PAN BÓG KULE NOSI.

Po odejściu szwaczki Helenka uczyła się bardzo niezadowolona; nad przyczynami jednak tego moralnego niesmaku nie zastanawiała się, bo i, co prawda, nie miała czasu.

Trzeba było z szafy i komody powydobywać masę szczegółów, należących do toalety damskiej i uczesać włosy, na co przecież kilka godzin nie jest za dużo.

Czytelnicy mogliby mieć do nas słuszną pretensję, gdybyśmy nie dodali w tym miejscu, że Helence przy czesaniu pomagała pewna bardzo dojrzała panienka, i że z jej porady przyjaciółka nasza w przeddzień zwinęła sobie papiloty. Wszystkim wiadomo, że rozkręcanie i układanie loków należy do najprzyjemniejszych zajęć młodej osoby; lecz i ta rozkosz nie zdołała stłumić w sercu Helenki jakiegoś niewyraźnego a złowrogiego głosu, który przypominał jej ciągle, że wbrew słuszności i woli ojca, nie zapłaciła biednej szwaczce.

Około ósmej, Helenka była już w połowie ubrana. Ponieważ zaś ojciec chodził po pokoju z miną bardzo zaszępioną i na pytania nie odpowiadał, nasza więc przyjaciółka udała się do garderoby, celem obejrzenia po raz setny pięknej swojej sukienki.

Wtem:

— O Boże! — krzyknęła biedna panienka i o mało nie rzuciła świecy na ziemię.

— Kto mi to zrobił! Kto mi to zrobił!..

— To ja, Helciu! To ja!... — szepnął w tej chwili zapłakany Jaś, wychodząc z pod kanapy, a potem dodał łkając: — Już mnie teraz Helcia pewnie nigdy kochać nie będzie!

W głosie i twarzy chłopczyka było tyle głębokiego smutku, tyle żalu, tyle łez, że dobra siostra, na pół śmiejąc się, a na pół płacząc, schwyciła go na ręce, okryła pocałunkami i najserdeczniej starała się uspokoić.

Był to bardzo piękny widok miłości rodzinnej! Szkoda tylko, że jedynym jego świadkiem była biała balowa suknia Helenki, obficie oblana atramentem!

Tak jest, nie myślę się, niestety!... Mały Jaś, którego siostra uczyła stawiać kreski, znudzony tym, że dziś nikt się nim nie zajmuje, uciekł do garderoby z zamiarem pisania, i mimochodem splamił suknię swej ukochanej nauczycielki.

Tymczasem pan Horacy Gwizdalski, zirytowany do wysokiego stopnia tym, że go na bal wyciągają, chodził sobie po swym gabinecie i palił fajkę, błagając niebios, aby ktoś z szanownej rodziny Kukalskich nagle zachorował, i tym sposobem, jego, Gwizdalskiego, od nieznośnej frakowej pańszczyzny uwolnił.

Od tych ponurych rozmyślań odwrócił jego uwagę jakiś hałas na podwórzu. Już starzec miał ochotę zbadać osobiście powód zgiełku, gdy wtem skrzypnęły drzwi gabinetu i ukazał się w nich... zgadnijcie kto? Oto cukiernik!...

Pan Horacy stał się fiołtowy, lecz milczał.

— Panie! — rzekł cukiernik z miną człowieka, który nigdy do cudzych piwnic piasku nie sypał — Panie, szwaczka Zosia udusiła się czadem!...

— Co? Co? — krzyknął pan Horacy.

— Tak, panie! — powtórzył cukiernik — a co gorsza, zostawiła ten oto list, który, gdyby wpadł w ręce niewłaściwe, mógłby pana skompromitować...

To mówiąc, oddał drżącemu Gwizdalskiemu arkusz papieru, zapisany ołówkiem, i wychodząc, dorzucił:

— Idę do tej biednej dziewczyny, może uda się ją uratować!...

Lecz starzec nie słyszał już tego, zajęty odczytywaniem listu, który obok błędów ortograficznych, zawierał co następuje:

„Bardzo mi źle jest między ludźmi, i muszę iść do swoich kochanych umarłych...

Niech Pan Bóg przebaczy córce gospodarza, która mi kochanka odebrała i jeszcze nie zapłaciła za moją krwawą pracę, tak że żyjąc dłużej, włożyłbym co w gębę nie miała.

Mego kochanka Artura zaklinam na miłość naszą, aby mi powiesił na szyi ten złoty krzyżyk, co to wziął do naprawy. Niech sobie też schowa na pamiątkę ten złoty pierścionek, co go wziął przez żart.

Ty, matko moja, i ty siostró, i wy bracia, prosicie Boga, aby mi dał lekkie skonanie i na tamtym świecie razem z wami pomieścił... Zofia...”

Przeczytawszy to, pan Horacy upadł na fotel i parę minut siedział nieruchomy. Potem słabym głosem zawołał do siebie Helenkę.

Gdy weszła, podał jej list i kazał przeczytać.

Zrozumiawszy o co chodzi, Helenka z jękiem upadła do nóg ojcu. Potem poczęli się całować, i przez kilka chwil słychać było tylko stłumione szlochanie obojga.

Uspokoiwszy się nieco, starzec rzekł:

— Straszny to cios dla mnie, ale przyjmuję go z pokorą. Oboje ciężko zawiniliśmy wobec Boga i ludzi, i kara nas nie minie...

W tej chwili w dalszych pokojach usłyszano jakiś hałas. Pan Horacy poznał głos cukiernika, który wołał:

— Ocucili ją! Ocucili!... Żyje!... Żyje!...

Starzec zerwał się na równe nogi i wybiegł, wołając:

— Przyniescie ją do mnie!... Tu... Ona tu już zostanie, wynagrodzę jej wszystko! ...

— A panu Bóg wynagrodzi! — odpowiedział cukiernik.

W kwadrans potem kilku dobrze zbudowanych ludzi przyniosło osłabioną, lecz żywą jeszcze Zosię. Na rozkaz starca położono ją w pokoju Helenki i wezwano aż trzech lekarzy.

Lekarze obejrzeni chorą i zapewnili, że już żadne niebezpieczeństwo jej nie grozi. Starania dokazały tego, że dziewczyna otworzyła oczy i szepnęła:

— Gdzie mój kanarek?

Na pytanie to, stróż przyniósł klatkę, w której mały ptaszek leżał nieżywy, z otwartym dziobem i skurczonymi łapkami. Biedna Zosia gorzko zapłakała...

Około 10-ej, kiedy Zosia usnęła, starzec począł się z córką naradzać o jej przyszłości. Postanowiono, że sierota zamieszka u nich.

Rozmowę tę przerwał turkot karety na podwórzu, po czym niebawem ukazał się w pokoju wyfrakowany, wyperfumowany i uczesany jak nigdy — Artur.

Helenka uciekła, a elegant odezwał się wesoło:

— Cóż to za lekceważenie dobrego tonu! Już po dziesiątej, a pan jeszcze w szlafroku?... Przyjechałem po państwa moją karetą...

Pan Horacy tymczasem wstał z fotelu, wziął pięknego młodzieńca za kołnierz i wyprowadził...

— Pan mi ubliżasz! — wołał młodzian.

W tej chwili Helenka usłyszała jakiś potężny łoskot na schodach.

ROZDZIAŁ VII, W KTÓRYM PAN HORACY WYPOWIADA SENS MORALNY.

Gdy zmęczony nieco ojciec wrócił, córka uściskała go i rzekła:

— Dziękuję ci papo!

A pan Horacy odparł:

— Pamiętaj, moje dziecko, zawsze unikać mężczyzn młodych, nie mających określonego zajęcia. Nie zapominaj też, że lepiej sto balów opuścić, aniżeli skrzywdzić jednego ubogiego.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/prus-sukienka-balowa>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, *Nowele Warszawskie*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Londyn 1946

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Koziół, Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Koziół.

ISBN 978-83-288-0756-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).